

Moje internowanie do ZSRR w 1945 r.

(spisane w 1989 r. przez mgr. farm. Teofila Świetlika ur.28.07.1905r.)

Na przełomie lutego i marca 1945 r. wojsko radzieckie wkroczyło do miasta Chojnice, gdzie mieszkałem wraz z rodziną od 1937r. Pierwsi żołnierze obchodzili się z ludnością cywilną względnie dobrze, dopiero następni, którzy przybyli po kilku dniach dopuścili się grabieży, rozbojów, gwałtów kobiet, także nieletnich i starych kobiet bez względu na to, czy dotyczyło to cywilnej ludności polskiej czy niemieckiej. Płądrowali i celowo podpalali i niszczyli budynki, gdzie się tylko dało, bo to „germańskie” nie bacząc, że przewaga Niemców z tych terenów przed nadejściem walk opuściła te tereny, a pozostali Polacy cierpią głód i niedostatek. Po upływie tygodnia żołnierze nawoływali mieszkańców do opuszczenia miasta z powodu przewidzianych ciężkich walk ulicznych i tak postanowiliśmy opuścić miasto. Wybraliśmy drogę przez Angowice do Ogorzelin do mojej siostry stryjecznej i jednocześnie siostry mojej zmarłej w r.1942 żony. Krewna ta, z którą utrzymywałem częste kontakty prowadziła wraz z rodziną kilka kilometrów poza wsią Ogorzeliną dobrze prosperujące, dość duże gospodarstwo rolne i u niej właśnie chcieliśmy się zatrzymać do zakończenia walk w mieście. Szliśmy tj. p.Janowska – moja gospodyni, jej pełnoletni syn Henryk, ja z moją 12-letnią córką i 2,5-letnim synem w wózku sportowym, dźwigając najniezbędniejsze rzeczy osobiste i trochę żywności na drogę. Była zima, mróz, leżał śnieg, szosą szły tłumy uciekinierów z miasta, widzieliśmy łuny palących się w dali zabudowań miejskich i we wsiach, w rowach po obu stronach szosy leżały ciała zabitych. Późnym wieczorem dotarliśmy do wsi Ogorzelin (10 km oddalona z Chojnic), jednakże wojsko radz.nie zezwoliło nam zboczyć z drogi do odległego ok.2 km od wsi gospodarstwa mojej krewnej. Szliśmy dalej w kolumnie w stronę wsi Melanówko. Była już noc, pod jej osłoną zboczyliśmy kilkanaście metrów z drogi w kierunku stogu słomu i tam wygrzebaliśmy sobie w słomie norę na nocleg. Byliśmy całkowicie przykryci słomą, czyli rano nie zauważeni przez stacjonujące nieopodal wojsko kontynuowaliśmy „marsz”, tym razem samotnie, w kierunku Cerkwicy. Następną noc spędziliśmy w stodole w polu, gdzie strasznie zmarzliśmy. Dalej szliśmy w tym samym kierunku co poprzednio i w godzinach popołudniowych znaleźliśmy się w okolicy Małej Cerkwicy, na odległym od wsi gospodarstwie rolnym zajęтым wobec braku gospodarzy przez uciekinierów z Chojnic. Po kilku godzinach przyjechały samochody ciężarowe z kilkoma żołnierzami radzieckimi. Po przeprowadzeniu rewizji naszych tobołów i wylegitymowaniu wszystkich dorosłych (było tam dużo matek z dziećmi) kazano wszystkim zebrać się na podwórzu gospodarstwa i tam nastąpiła segregacja – osobno mężczyźni, kobiety z dziećmi, kobiety bez dzieci oraz starcy. Mężczyzn wywiozła jedna ciężarówka, a drugą wyjechały kobiety bezdzietne. Kobiety z dziećmi i starców pozostawiono. Wywieziono nas do ciemnych pomieszczeń

piwnicznych w Kamieniu Krajeńskim (po ok. 20 osób w jednym pomieszczeniu) i tam nocowaliśmy. Pojedyńczo wyprowadzano nas na przesłuchania. Pytania dotyczyły przynależności do organizacji politycznych, partii niem., w jakim towarzystwie przebywaliśmy itp. Po dwóch dniach prowadzono nas (ok.100 osób) do Sępólna Kr. do pustych pomieszczeń restauracyjnych przy rynku i tam nocowaliśmy oczywiście leżąc pokotem na podłodze. Następnego dnia zaprowadzono nas do kościoła ewangelickiego w centrum Sępólna. Kościół ten podobno zajmowało przed nami wojsko radz., był strasznie zabrudzony, dlatego musieliśmy go przed zajęciem oczyścić przede wszystkim z fekalii. Tam byliśmy ok. 3 dni, bez jedzenia, na potrzeby fizjologiczne wyprowadzano nas pojedynczo na pobliskie podwórze. W kościele byli mężczyźni i kobiety. Wyprowadzono nas, uformowano kolumnę składającą z ok.500-600 osób i pod strażą prowadzono nas do Działdowa. Tam otrzymaliśmy posiłek tj. gotowane ziemniaki i ciepłą wodę do picia i nocleg. Dalej prowadzono nas przez Mąkowsk, Lucim, Buszkowo, Nowy Dwór, Stary Dwór na nocleg w majątku Stopka w pomieszczeniach gospodarskich. Dalej marsz przez Gościeradz, Tryszyn, Bydgoszcz (przedmieście Okole obok kościoła Św. Trójcy, Rynek Zbożowy, ul. Kujawska) do Brdyujścia z noclegiem, gdzie zasłałem. Następnie przez Toruń, Kowalewo Pom. do Pluskowasów, gdzie był nocleg w zniszczonych pomieszczeniach pałacowych. Następnego dnia - Brodnica, Lidzbark i Działdowo. Zabierano też osoby przypadkowo spotkanych po drodze jak również powracających na furmankach Polaków z robót przymusowych z Prus Wschodnich. Dziennie przemaszerowaliśmy ok. 20-25 km. Mówiono nam początkowo, że idziemy odgruzowywać Warszawę, a potem wrócimy do swoich domów. Nikt z przypatrujących się nam na ulicach nie mógł się do nas zbliżyć i udzielić pomocy, choć dawaliśmy znaki, że jesteśmy głodni i marzniemy. W Działdowie widziałem, jak po noclegu wynoszono z baraku ciała zmarłych i grzebano w uprzednio wykopanych zbiorowych grobach. W mojej kolumnie było niewielu Niemców, przeważali Polacy. Po dwóch dniach pobytu w Działdowie umieszczono nas w wagonach towarowych po 40-50 osób z małym okienkiem okratowanym i oszklonym matową szybą. Przed wejściem do wagonów zostaliśmy podzieleni na grupy. W mojej grupie byli bracia Sylwestrowicz - robotnicy rolni z Sępólna Kr. Jeden raz dziennie otwierano drzwi wagonu i podano nam wtedy ciepłą wodę (czaj) do picia oraz suchary(suszony chleb). Naczyń do picia nie było. Ja miałem małe naczynie po mleku o pojemności ok.150ml oraz łyżkę zardzewiałą znaną na śmietniku podczas marszu. Dla załatwiania potrzeb fizjologicznych był otwór w drzwiach wagonu z przymocowanym korytem-rynną, którą spływały fekalia na zewnątrz. Wagony były piętrowe (szerokie tory) i nie było możliwości wyprostowania się, więc wszyscy leżeli, a poruszać się można było tylko w pozycji pochylonej. Przykrywaliśmy się własnymi marynarkami, płaszczami, byliśmy zawszeni, brudni. Dopiero na stacji kolejowej Ufa mogliśmy się pod prysznicem umyć, zabrano nam ubrania celem odwyszawienia, lecz nie wszystko nam zwrócono. Ok. 10.kwietnia po 4-ch tygodniach podróży

wyprowadzono nas z wagonów na stację kolejową Zlataust w górach Uralu południowego. Szczyty gór były jeszcze ośnieżone. Obóz znajdował się poza miastem w odległości ok. 5 km, blisko obozu było jezioro, las, dookoła góry. Ściany bardzo zniszczonych baraków parterowych były z gliny obite blachą, podłogi z desek, wewnątrz piętrowe legowiska (prycze), moc pluskiew i szczurów. Cały teren obozowy ogrodzony był drutem kolczastym (wysok. 2,5-3m), wieże wartownicze co 15-25 m, gdzie pełnili straż wartownicy – chłopcy w wieku ok. 12-14 lat z karabinami większymi od nich samych, przez środek placu płynęła strugą woda z gór, która była obozowym rynsztokiem, w którym myliśmy ręce, naczynia, itp., cały plac tonął w błocie. Rozpoczęliśmy porządkowanie tego placu. Znosiliśmy z pobliskich terenów kamienie, którymi wybrukowowany został plac. Sale były bardzo duże oświetlone jedną słabą żarówką. Czyszczenie podłóg polegało na jej zwilżaniu wodą i ręcznym skrobaniu brudu kawałkami szkła. Na środku placu były baraki z czterema pomieszczeniami dla chorych czyli „szpital”, dalej kuchnia obozowa z trzema kotłami do gotowania posiłków, osobny barak na „banią” czyli łaźnię z piecem, na którym wieszano podczas mycia ubrania. Miski do mycia i prania były blaszane o pojemności ok. 4-5 l wody, do mycia otrzymywaliśmy ciepłą wodę i kawałek szarego mydła. Była też trupiarnia (bez dachu) zlokalizowana w starej stajni. Komendantura mieściła się w budynku poza drutami, gdzie także znajdowały się mieszkania dla obsługi obozu. W moim baraku byli sami mężczyźni, natomiast dosyć duża grupa chłopców 14-15-letnich Kaszubów z okolic Czerska i Kościerzyny, którzy otrzymywali podwójne porcje zupy (wodnista, ziemniaków nie widzieliśmy) i ew. trochę ryby. Chleba dostawaliśmy ok. 400 g dziennie ze śruty jęczmienia, wytlóków ziarna słonecznikowego, był bardzo wilgotny dlatego suszyliśmy go przy piecu na znaleniowej blasze. Po upływie pewnego czasu „komisja lekarska” dokonała przeglądu wszystkich mężczyzn celem ustalenia liczby zdolnych do pracy. Sanitariuszki „macając” pośladki całkowicie nagich mężczyzn, ustalały w ten sposób umieszczenie pośladków i ud i ich przydatność do pracy. Zdolnych do pracy zatrudniono przy porządkowaniu terenu w mieście, kopaniu fundamentów pod budynki fabryczne. W lipcu w wykopach na głębokości 2-3 m była jeszcze warstwa lodu. W tych miesiącach letnich podczas burzy padał grad wielkości kurzego jaja. Słabsi zatrudnieni byli do prac w lesie przy wyrębie drzew na drewno opałowe do kuchni, łaźni i szpitala. Ścięte drzewa przenosili na plecach (ok. 1 km) do obozu. Rano i wieczorem zarządzano apele przed barakami. Było nas w obozie ok. 1200-1300 osób różnej narodowości, byli Niemcy, Polacy, Węgrzy, Jugosłowianie, Francuzi, Anglicy. Kierownikiem obozu był major niemiecki, któremu należało oddać honory. Współwięźniem moim był nie znający języka niemieckiego Knut (20-21 lat), silny, rosły mężczyzna mieszkający podczas okupacji niem. w lasach kaszubskich. On właśnie nie pozdrowił odpowiednio majora niemieckiego, został przez niego zatrzymany, a Knut stawiał opór, za co został ukarany 3-dniowym karcerem. Więźniowie zbuntowali się, co było powodem rozdzielania Niemców od Polaków. W kuchni obozowej zatrudnieni byli tylko

niemieccy wojskowi, przy rozdziale posiłków Niemcy też byli faworyzowani. Kiedyś przyjechała międzynarodowa komisja na inspekcję obozu i podczas zbiórki na placu pytali, czy nam coś ukradziono, jednak nikt nic nie zgłosił, poczym wycofano z obozu Francuzów i Anglików. Wszy i pluskwy były wszechobecne. Dezynteria była częstym objawem wśród nas. Strażnicy okradali nas z ostatnich możliwych ubrań i innych rzeczy, zresztą sami obozowicze często odstępowali część swoich ubrań w zamian za dodatkową porcję gotowanego ryżu, machorki lub łyżki cukru. Nad bramą obozową widniał napis czerwony (ze zmielonej cegły) w języku rosyjskim, niemieckim i na końcu w języku polskim „Rzetelną pracą odwdzięczcie się Wielkiemu Narodowi Sowieckiemu”. Pomocnicze funkcje nadzorcze w poszczególnych grupach obozowych pełnili byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych (np. Wolny) i Ukraińcy. Zobowiązani byli do utrzymywania porządku w grupie i w sali, przestrzegania dyscypliny i wyznaczania ludzi ze swej grupy do pracy. Kiedyś zostałem przeznaczony do pracy przy rąbaniu drewna dla potrzeb kuchni, przenoszeniu produktów z magazynu do kuchni i grzebaniu zmarłych. Był tam przypadkowo felczer, czy lekarz i jemu powiedziałem w jęz. polskim, że jestem farmaceutą. Odesłał mnie do baraku i kazał zgłosić się następnego dnia. Egzaminował mnie z tematów medycznych, dawki maksymalne morfiny, pyramidonu itp. Poczym zaprowadził mnie do pomieszczenia w obrębie „szpitala” do małej komórki (1 x 1,5 m) jako „aptekier”. Z leków otrzymałem Magnes sucf., Natr. sucf., Carb. lign. putr., jakiś Scofathiapol plr(20 g) na cały obóz liczący ok. 1200 osób. Były jeszcze jakieś leki zawinięte w papier gazetowy, bez wagi i opisu. Spirytus 90 % zabrał felczer. Przypominam sobie jeszcze, że pewnego razu zabrał mnie „wracz” – felczer czy też lekarz obozowy rosyjski samochodem ciężarowym do Czelabińska celem zabrania z tamt. Magazynu leków i opatrunków dla obozu. Widziałem tam stosy opakowań leków w strasznym bałaganie, porozrzucanych na podłodze. Był tam też przyrząd do oznaczania OB. Wracz zapytał do czego to służy. Były to stosy leków w paczkach, także uszkodzonych opakowaniach, pochodzących i wywożonych z Polski. Każda izba chorych (po 10-15 chorych) miała swego sanitariusza, a izb było 4 czy 5. Chorzy byli wycieńczeni, skóra i kości, skóra pergaminowa, panowała dezynteria. Chorzy leżeli na pryczach z nieheblowanych desek, środkowa deska była wyjęta, a pod nią blaszane naczynie na odchody. Zmarłych było dziennie ok. 5-8, zmarłego rozebrano, na szyję zawieszono kartkę z numerem, który był zapisany w małym zeszytiku przez felczera obozowego. Ciało umieszczono w pobliskiej trupiarni i kiedy zebrano się tam 10-15 ciał układano je na małym, wąskim wózku przykrytym kocem, obwiązany sznurem. Wózek ciągnął kucyk pod górę ok. 1 km na miejsce pochówku w nieogrodzonym szczerym polu. Doły (2 x 5m) były poprzednio wykopane przez naszych kolegów. Grunt był kamienisty i składał się przeważnie z płaskich kamieni podobnych do małych dachówek. Po umieszczeniu ciał we wspólnym dole trzeba było je jeszcze udeptać, by nie było pustych przestrzeni między ciałami, a potem tymi płaskimi kamieniami –

płytkami wypełniono dół. Sam brałem udział w takich pracach zanim zatrudniono mnie w obozowej aptece. W obozie spotkałem znajomych z moich stron rodzinnych, także z Chojnic i mojego kuzyna i ojca chrzestnego córki Stefana Korthalsa. Pracując w aptece obozowej mogłem im pomagać dostarczając w miarę moich możliwości słodzony kleik owsiany, którego często nie zjadali chorzy. Byli zbyt wycieńczeni i umierający i nie mieli już sił ani ochoty do jedzenia, więc zawsze zostawały jakieś porcje nie zjedzone. Kleik był bardzo gęsty, szary, słodki i to uratowało i mnie. Posiłki dostawaliśmy głodowe – bez tłuszczu i białka, umieralność była coraz wyższa. Zachorowałem na dezynterię (dur brzuszny), a potem na żółtaczkę zakaźną. Uratowali mnie dwaj bracia - Węgrzy – dr med. Laslo Vida i dr farm. Kalman Vida, od których dostawałem opium i czosnek, leki, bardzo się o mnie troszczyli, także rosyjski felczer obozowy, były więzień z I. wojny świat. Dostawałem przez dwa dni gęsty ryż i trochę cukru. Wylizałem się z choroby dzięki ich opiece. Chłopcy zachorowali także (ok. 6 osób) na puchlinę wodną. W/w Węgrzy spuścili im w pomieszczeniach szpitala ok. 4-5 l wody z tułowia, który to płyn po pewnym czasie miał konsystencję galarety. Chorzy ci jednak po pewnym czasie umarli. Nastąpił okres powrotu do domu. Pożegnałem się serdecznie z Węgrami, wymieniliśmy adresy zamieszkania w rodzinnym kraju. Podczas jesienno-apel powiedziano nam, że wszyscy wracają do domu i należy przygotować się do opuszczenia obozu. Przedtem były przemowy pożegnalne i przez otwarte bramy opuszczaliśmy obóz w zwartym szyku z nadzieją na rychły powrót do swoich domów. Z a bramą padła komenda „stój”, poczym wracaliśmy pojedynczo do obozu do rewizji osobistej. W taki podstępny sposób zabrano nam pozostałe rzeczy osobiste- ubrania, ukryte dotychczas przed zabraniami zegarki, obrączki itp. – cały ciężarowy samochód załadowany był naszymi rzeczami. Dopiero za tydzień nastąpił faktyczny wyjazd powrotny z dworca kolejowego Złataust. Podróż znowu trwała 4 tygodnie, jechaliśmy w otwartych wagonach towarowych, żywiono nas jak podczas poprzedniej podróży – herbata (ciepła woda) i suchary. Do Polski dotarliśmy w X.1945r. Z Herb pojechałem do Poznania, gdzie otrzymałem kartę repatriacyjną i dalej udałem się do Chojnic. Na dworcu kolejowym zjadłem skromny posiłek w PCK i dalej pojechałem do Ogorzelin do mojej krewnej z nadzieją zastania tam moich dzieci. Byłem zawszony, miałem świerzb, brudny i wycieńczony. Odnalazłem swoje dzieci zdrowe i pod dobrą opieką. Po jakimś czasie rozpocząłem pracę w aptece u wdowy po aptekarzu Gmerku w Kamieniu Kr., kilka dni w tygodniu dojeżdżałem do aptek w Czersku i Sępólnie, potem pracowałem aż do emerytury w aptece w Chojnicach, gdzie pracowałem do 74-go roku życia.

Z Rosji wróciłem 27.X.45r., a zabrany zostałem 20.II.45r. Moi współtowarzysze obozowi w większości jeszcze zostali w obozie. Połowa internowanych zmarła tam np. ze znajomych moich – Edward Żmuda-Trzebiatowski – kupiec z Chojnic, Pukowski – kolejarz, ks. Leon Sochaczewski – proboszcz z Lichnow (maltretowany w 1939r przez Niemców

hitlerowskich). Wrócił razem ze mną tym samym transportem mój kuzyn Stefan Korthals, Nikodem Jaworski – rolnik z Ogoszulin.

Po moim powrocie do Polski napisałem do matki moich współtowarzyszy Węgrów list w języku niemieckim, bo matka znała ten język. Otrzymałem odpowiedź, że jeszcze nie wrócili, tak samo po roku nie było ich jeszcze. Później nie otrzymywałem już żadnej odpowiedzi, z czego wnioskuję, że rodzice już zmarli.

Do Redakcji przekazuje niniejsze wspomnienia
córka mgr Teofila Swietlika

Tychy, dn.12.09.2001 r.

mgr Anita Dobrowolska

A. Dobrowolska